

Profesor Lajkonik



UL

Obrazki akademickie

UL

Obrazki akademickie

Profesor Lajkonik

UL

Obrazki akademickie



Warszawa 2015

Redaktor prowadzący
Małgorzata Yamażaki

Korekta
Krzysztof Janowski

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna Gogolewska

Ilustracja na okładce
Piotr Kłosowicz (1993)

Skład i łamanie
Barbara Obrębska

ISBN 978-83-235-1964-5

ISBN 978-83-235-1972-0 (PDF)

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego,
Warszawa 2015

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
00-497 Warszawa, ul. Nowy Świat 4
www.wuw.pl
e-mail: wuw@uw.edu.pl
Księgarnia internetowa: www.wuw.pl/ksiegarnia

Wydanie 1

Od autora

Ule to wysoko zorganizowana owadzia społeczność. Pod władzą królowej matki, zazdrośnie tępiącej konkurentki do tronu, pracują robotnice, trudzą się karmicielki, znoszą nektar zbieraczki, gotują się do secesji roje, czynią swe powinności trutnie... Ceniona produkcja miodu to uboczny efekt ich codziennego wysiłku, celem jest przetrwanie barci. A temu służy wydanie potomstwa i trenowanie go do wyspecjalizowanych zadań.

Prezentowany zbiór felietonów ilustruje podobną wysoko zorganizowaną społeczność. I jej celem jest przetrwanie, wydanie nowych pokoleń umysłów uformowanych do specjalistycznych społecznych zadań, także do wychowywania własnych następców. I ona jest zarzewiem tworzenia nowych społecznych rojów, gromadzących jednostki wokół zadań, których uznawany pożytek pozwala im samym oraz wielu innym na uruchomienie nowej aktywności w celu przeżycia. I ta społeczność dumnie ogłasza się powołaną do produkcji cenionej słodczy – naukowych badań i odkryć. To środowisko uczelni wyższych, które tu reprezentuje Uniwersytet profesora Lajkonika (UL).

Felietony powstały dla „Pisma Uniwersytetu Warszawskiego”, w którym co drugi ukazywał się drukiem, a każdy

na ówczesnym portalu tego pisma, jako „Medytacje prof. Lajkonika” (2012–14). W tym czasie było już jawne, że publiczne uczelnie polskie, oczywisty beneficjent krajowych przemian, zderzyły się z wyzwaniem, na które przygotowane nie były. Dobrodroziejstwo środków europejskich umożliwiło masową budowę nowych gmachów, a jednocześnie na uczelnie spadały okresowe ataki huraganowej krytyki prasowej (jesień 2009, wiosna 2012), z którą uczelnie nie umiały bądź nie uważały za słuszne się mierzyć. Nieustanne i głębokie zmiany ustawy uczelnianej (2005, 2011, 2014) ponad głowami liczного środowiska podważyły jego autonomiczną stabilność, niezbywalną wartość akademii w tradycyjnym, europejskim rozumieniu. A ludzie, dla których umysłowa aktywność jest i powinna być treścią życia, pozbawiani swobodnego wpływu na uczelniane władze, centralnie sterowane nadmiarem szczegółowych przepisów, przyglądają się z bezradną bezsilnością, jak uczelnie ogarnia biznesowy trend, wymagający doraźnej i wymiernej skuteczności wszystkich naszych wysiłków. Wiele musi się jeszcze zdarzyć, zanim profesorowie polscy powrócą do naturalnej roli autorytetów i nauczycieli najwyższego poziomu, wzorem renomowanych uczelni Zachodu odzyskując realny wpływ na kształcenie i odpowiedzialność za jego zakres i pożytek.

Autor ma nadzieję, że obrazki z życia prezentowane w felietonach mogłyby dostarczyć materiału do namysłu architektom planów kolejnych rekonstrukcji na terenie akademickim. Nieuniknionych, wobec z każdym rokiem głośniejszych zapowiedzi sejsmicznego wstrząsu, jakim stanie się dla szkół wyższych utrata znacznej części dzisiejszych studentów. Po okresie finansowego przymusu zapełniania uczelnianych sal ponad miarę, po drastycznym

splyceniu wymagań wobec kandydatów stajemy wobec niżu demograficznego. Uczelnie polskie czekają trudne do przewidzenia wyzwania i konwulsje, gdy liczba wszystkich maturzystów stanie się mniejsza niż liczba kandydatów dziś przyjmowanych w samych tylko w uczelniach publicznych.

Opisywane fakty, osoby i wydarzenia są rzeczywiste, jednak wszelkie skojarzenia ze znanym Czytelnikowi otoczeniem byłyby nieprawdziwe. Obserwowane przez autora z dystansu zatraciły imiona, nazwy i charakterystyczne szczegóły, zostały jednak zapamiętane – czasami przez samego zaciekawionego autora, często przez opisujących świat dziennikarzy, niekiedy przez dalekich autorów dzieł bądź pisujących luminary. Z każdej relacji, cytowanego artykułu lub poglądu wydobyto tu znaczenie istotne współcześnie dla środowiska, w którym kolejne pokolenia dziewiętnastolatków poszukują drogowskazów na zawodowe życie.

Kreślone obrazy są ulotne jak fotografie wykonane latem na zatłoczonej plaży. Czy oglądane zimą odnoszą się jeszcze do jakiejś rzeczywistości? Wiemy, że za rok będzie to miejsce wyglądać podobnie, nigdy tak samo. Jednak pojmujemy treść fotografii: potrafimy przy jej pomocy opowiedzieć dzieciom, jak będzie cudnie nad morzem. Wierzę, że niejeden Czytelnik rozpozna wśród felietonowych obrazków sytuacje, problemy i spory spotykane i w jego otoczeniu.

Poszukiwaczom przygód towarzyskich sprawię zawód: w treści felietonów nie pada ani jedno nazwisko, ani jedna nazwa uczelni. Środowisko uczelni wyższej jest od lat naturalnym domem autora; opisując zjawiska i zdarzenia, także i on woli w druku zachować *incognito*, przez szacunek dla intymności otaczających go domow-

ników. Nazwy własne oraz liczne nazwiska pojawiają się natomiast w przypisach, ilekroć autor pozwala sobie na polemikę z ogłoszonymi publicznie tekstami bądź gdy daje wyraz swej admiracji dla przenikliwych obserwacji lub cennie dobranych słów innych autorów. Bardzo liczne przypisy odsyłają z reguły do słowa drukowanego, jednak w dobie informacji elektronicznej zainteresowany Czytelnik łatwo odszuka je i w przestrzeni wirtualnej.

Dworski charakter uczelnianych mediów jest autorowi znany z codziennego doświadczenia, więc do felietonowego eksperymentu przystępował z rezerwą, a i Redakcja Pisma, wyjątkowo w tamtym czasie otwarta na ważne problemy środowiska, nie była wolna od obaw o sens felietonowego eksperymentu. Po zamkniętych trzech latach współpracy autor zachował dla gościnnej Redakcji wdzięczność, że Lajkonikowi, włączącemu się wcześniej na obrzeżach uczelnianych pastwisk, pozwoliła przelotnie pohasać na paradnym uczelnianym trawniku.

Teksty medytacji zostały do obecnego wydania na nowo zredagowane, by je przybliżyć czytelnikowi spoza warszawskiego uniwersyteckiego podwórka. Teksty opublikowane drukiem oznaczono w przypisach, brak takiej adnotacji przy tekstach ogłoszonych jedynie na uniwersyteckim portalu. Zachowano oryginalną kolejność felietonów oraz ich datowanie – pozwalają ocenić dynamikę zmian nastrojów w uczelniach i w ich społecznym otoczeniu. Dołączono do zbioru teksty przez redakcję nieopublikowane w żadnej formie, nie pominięto także odcinków *post scriptum*, które nie zdążyły być redakcją przesłane przed zamknięciem naszej współpracy.

(Wrzesień–grudzień 2014)

Orzełek¹

W maju roku 2010 pewna pani minister od narodowej edukacji, nie bacząc na nasze miejsce w zjednoczonej Europie, na niebieską flagę zwycięstwa i na kasę, okazała niezrozumiały upór i sprzeczne z narodowym interesem przywiązanie do ptaków. Wydając rozporządzenie o kształcie szkolnych świadectw, w mało postępowy sposób zdecydowała, że na świadectwach ciągle musi być drukowany zwykły, samotny orzełek. Wprawdzie orzeł teraz z koroną, ale w ogóle to świadectwa zwyczajne, jak moje wydane głęboko za komuny. A gdzie złote gwiazdy rodem z naszej rodzinnej Europy? Nie tego oczekujemy od osoby odpowiedzialnej za edukację polskich dzieci. Tej pani już podziękowaliśmy.

Nauka nie poszła w las. Pomna na ów gorszący incydent, pani minister od szkolnictwa wyższego zdjęła we wrześniu orzelka z polskich dyplomów ukończenia studiów oraz indeksów, wydając stosowne rozporządzenie. (Zmieniła zdanie: jeszcze w grudniu 2008 aprobowała orzelki na dyplomach). Zdejmowanie ptaków z takiej kupy papieru to wielkie dzieło, dyplomów mamy rocznie dziesiątki tysięcy, a indeksów pół miliona. Praca

¹ Pismo Uniwersytetu Warszawskiego nr 56 (2012), s. 51.

tytaniczna – potrzebny plan i rozważa, żeby uczelnie nie zginęły w powodzi białych piórek; będą je zbierać do sylwestra 2012. Czyż nasze miejsce w Europie nie jest tego warte? Teraz nasi fachowcy będą mieli papiery prawdziwie światowe: bez orzelka i w języku, jakiego żąda ich zagraniczny pracodawca. Bo cóż mieliby robić w prowincjonalnym kraju, z polskimi papierami pod szarym, pieczętkowym orzelkiem? Już przed wyborami wiedzieliśmy, że nasza pani minister zasłużyła na nagrodę; teraz mamy satysfakcję, widząc, jak z wdziękiem rozpoczyna drugą kadencję.

Pozazdrościł prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej naszej pani minister, też chciałby wygrać jakieś wybory. Zafundował polskiej reprezentacji nowe koszulki: miejsce orla zajęła poczwara: ni biały ptak, ni gwiazda złota. Spodziewał się pochwał, lecz drobiazg przeoczył: nad prezesem PZPN nie ma w Polsce żadnej władzy, aby go mogła docenić. Zanim doczekał gratulacji od kolegów z UEFA (też nie władza, ale byłoby miło), rzucili się na prezesa niepoprawni kibole. Żadnego zrozumienia, żadnej europejskiej perspektywy. Sejmowe lobby piłkarskie ruszyło do uchwalania ustawy chroniącej orzelka, lecz chwiejący się na stołku prezes nie chciał umierać za małego ptaszka. 11 koszulek szybko wymienił, próbując odzyskać równowagę.

Wieczorem przy kominku rozmyślałam nad nieprzeniknioną zawilością zamiarów władzy. Narodowy symbol to ozdoba miła polskiej duszy (nawet postępową pani minister okazała słabość, zezwalając jednak używać orzelka na legitymacjach studenckich), lecz głębszego sensu symbolu nie rozumiemy. Godło to pieczęć państwa, znak jego świadomej obecności, za którym idzie odpowie-

działność władzy państwowej. Władza (nawet sam Prezydent RP!), choć nie ma wpływu na działalność PZPN, życzy sobie orzelka na piłkarskich koszulkach, widząc w zawodach sportowych pożyteczne dla kraju działanie promocyjne. Inna władza (Minister) cofa zgodę na godło na uniwersyteckich dyplomach. Więc jako członek akademickiej wspólnoty, w której myślenie jest codziennym zajęciem (?), ćwiczę umysł w bezpłodnych spekulacjach.

Czy Państwo Polskie zachowuje zwierzchność nad uczelniami wyższymi? Bez wątplenia. MNiSW, CKK, PKA itp. to poważne państwowe urzędy, bez których uniwersytety i politechniki byłyby zagubione we mgle, bezradnie niezdolne do prowadzenia studiów, a tym bardziej do wydawania dyplomów. A może, skoro orzeczek się już nie należy (to myśl szatańska), los tych nadzorczych instytucji został przesądzony w ciszy gabinetów i program państwowych oszczędności ma zwrócić wolność uczelniom?

Czy dyplomy polskich uniwersytetów są mniej warte dla Państwa od świadectw szkolnych? To prawdopodobne. W szkołach uczymy się języka polskiego, rysunków (orla) i śpiewu (hymnu); bez tego nie bylibyśmy Polakami. A uczelnie nie dostarczają umiejętności praktycznych, o czym pracodawcy polscy dobrze wiedzą, dlatego niechętnie absolwentów zatrudniają; naiwne firmy zagraniczne jeszcze się nie zorientowały.

Czy posiadacze polskich dyplomów są mniej wartościowi w promocji polskości na świecie od polskich piłkarzy? To jasne. Z tych w kraju żaden promocyjny pożytek. Kiedy jeżdżą do pracy na zmywaku, przy truskawkach lub staruszkach, dyplomy zostawiają w domu. A absolwenci rozjeżdżający Europę za firmowe pieniądze? Nigdy

nie widziano, by przemawiali pod polską flagą lub orłem, a na dodatek starają się mówić w języku *language* jak chlebowodawcy lub gospodarze. Nie trzymają w ręku polskiego dyplomu – po co im orzełek?

Już późno, znużyła mnie akademicka dyskusja. Kiedy ostatnio zaglądaliście do szuflady, w której leży wasz dyplom potwierdzający wykształcenie wyższe? Czy zrobiliby wam różnicę, gdybyście zamiast orła zobaczyli na jego okładce wawelskiego smoka?

(Listopadowy wieczór, 2011)

Wiem, że nic nie wiem

Grudzień zmuszał mnie do częstego kontaktu z bankiem oraz niezliczonych wizyt w supermarketach. Zmęczony zakupami, przeglądam rachunki.

Banku, bez którego nie dostałbym pensji, nie zatan-kowałbym samochodu, nie zrobiłbym świątecznych zakupów, nie pojechałbym na wczasy – banku już nie oglądam. Trochę żal, lubilem pogawędzić przy opłatach w okienku. Teraz bezosobowe okienko otwieram, gdziekolwiek mój komputer wykryje sieć. Konto mam przed oczami: rachunek za hotel w Rumunii obok spóźnionego przelewu za przedszkole, w tle energia, telefon, pensja w comiesięcznym rytmie, jakieś honorarium... I ani jednego podpisu, zero papieru. Najbardziej cieszy mnie informacja, nawet gdy odkrywam, że jest kiepsko.

W supermarkecie znajduję wszystko i zawsze. Jakim cudem zdołają na czas sprowadzić gdzieś ze wschodu bombki zimą, baranki wiosną, rowery latem? Pytam młodego eleganta kierującego pracą hali: logistyka – odpowiada. Kliknięcie kasy jest notowane, zapasy i przychody monitorowane co dnia, sumowane w tygodniach, miesiącach i halach, zamówienia z rocznym wyprzedzeniem realizowane wg dobowego grafiku. Obsługa milionów klientów, tysiące towarów, setek marketów byłaby nie-